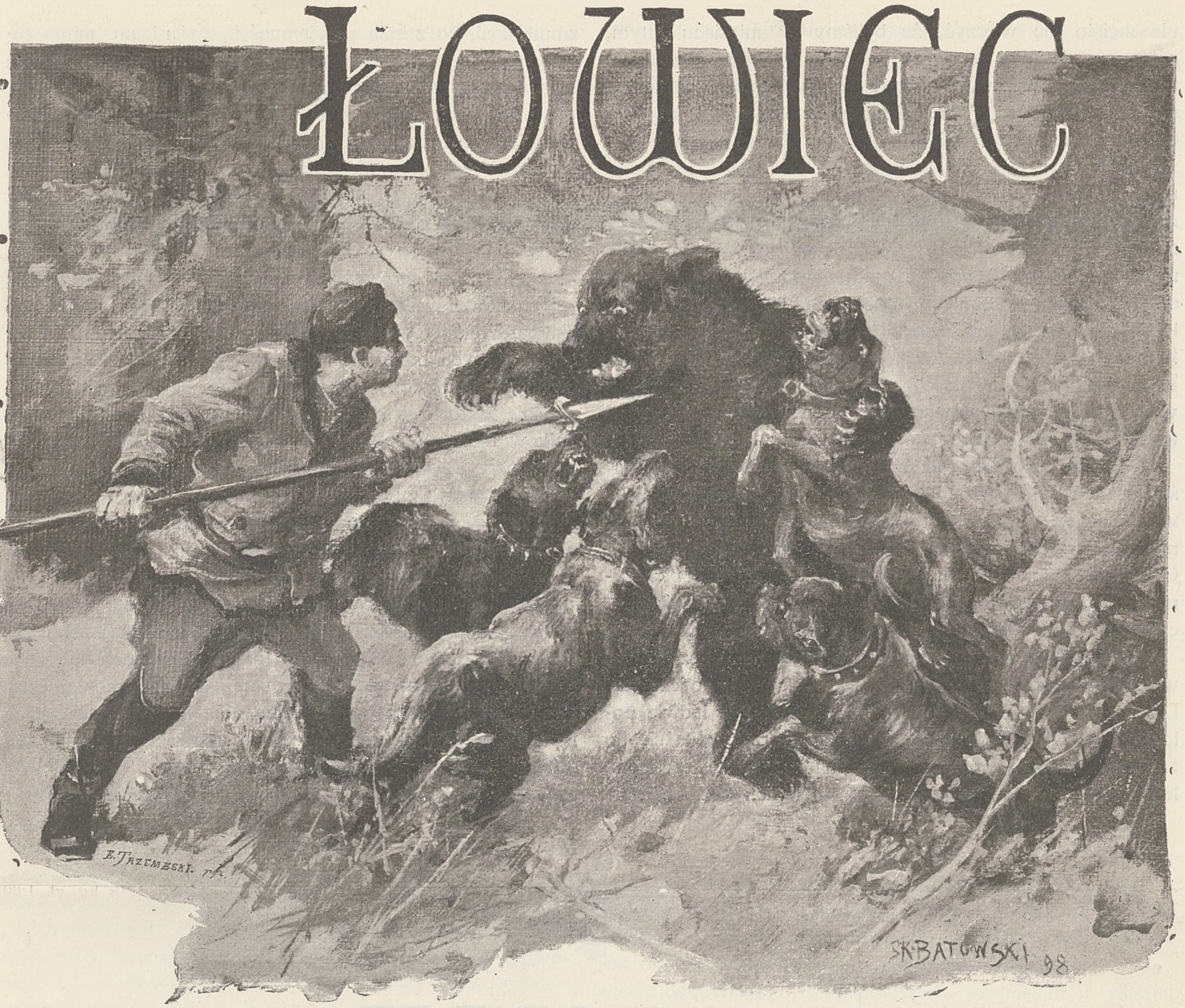
ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Uwagi nad tegoroczną zimą.

Już kilka ostatnich zim miało nadzwyczaj łagodny, dla utrzymania zwierzyny nader sprzyjający przebieg. Wskutek tego podniósł się znacznie ogólny stan zwierzyny jak to polowania tej zimy odbyte wykazały. W rewirach, w których poprzednio ubijano 50 sztuk zajęcy, zastrzelono obecnie, mimo tego, że polowania odbywały się na czarnem polu, w znaczej części wśród deszczów, dwa razy tyle; kuropatwy rozmnożyły się znacznie i osiedliły nawet w miejscowościach, które dotychczas kuropatw wcale nie widziały

Mimo całej staranności i zapobiegliwości wpływ naszej zimy na ogólny stan zwierzyny, jest bezwątpienia bardzo znaczny. Zapadna i długa zima wyniszczy nam najlepszy stan zwierzyny, mimo wszelkich starań i opieki. Ponieważ nasze polskie zimy należą przeważnie do zapadnych, przeto wpływ przebiegu kilku łagodnych zim musi być w podniesieniu stanu zwierzyny bardzo widoczny.

Ubiegła zima należała również do łagodniejszych była dla dobrego utrzymania stanu zwierzyny bardzo korzystną. Do połowy grudnia nie było ani mrozów ani śniegów. W tym czasie spadł śnieg na grubość około 10 cm., która to warstwa wystarczyła w zupełności, ażeby stan zwierzyny należycie skonstatować. Po tygodniu znikła i ta mała pokrywa, a nowy znaczniejszy śnieg, około 20 cm. grubości spadł dopiero w połowie stycznia 1900. Lecz i ten nie poleżał dłużej niż tydzień i ustąpił, już po tygodniu ciepłemu powietrzu, które w miesiącu lutym, szczególnie zaś ku końcowi tegoż miesiąca, robiło wrażenie początku wiosny, tak było ciepło i przyjemnie. Dnia 28. lutego było we Lwowie w południe 13 stopni,

nie chciało się wierzyć, że byliśmy w miesiącu lutym, zatem w miesiącu najsilniejszych mrozów. Z początkiem marca wzięły wprawdzie znowu mrozy i spadł nieznaczny śnieg, jednakże do dnia skreślenia niniejszego artykułu objawy marcowej temperatury nie są zbyt gwałtowne.

Widzimy więc z tego krótko skreślonego przebiegu tegorocznej zimy, że wpływ jej na utrzymanie stanu zwierzyny był nader korzystny. Nie było ani znaczniejszych mrozów, albowiem ledwie trzy do pięć dni w całej zimie miało temperaturę poniżej 10 stopni R, ani też znaczniejszych opadów śniegowych, albowiem tylko przez trzy dni leżał śnieg na 20 cm. wysoko, a zresztą nikł niebawem. Zwierzyna znajdywała karmę naturalną, jej odpowiednią, w należytej mierze i ilości i była chronioną przed wpływami niekorzystnej temperatury, jak również przed szkodnikami z rodu czworonogów.

Pewną dystrakcyę tworzyły częste gołoledzie. Właściwością bowiem tegorocznej zimy było, że śnieg zacząwszy padać, już po kilku godzinach zmieniał sią w deszcz, następnie ścinał mróz i tworzyły się lekkie gołoledzie. Gołoledzie te nie miały znaczniejszego wpływu na utrzymanie stanu zwierzyny, albowiem ziemia pod wpływem ciepłych wiatrów i słońca wkrótce znowu odtajała.

Dalej była ubiegła zima mniej obfitą w szkodniki, względnie dawały się one zwierzynie mniej odczuwać. Lisa ogółem widziano i strzelano bardzo mało, ledwie połowę zwykłego odstrzału. Bez wątpienia przyczyniła się do tego stanu tegoroczna zima, albowiem lis siedział w polu, lecz musiał się stan jego w ostatnich latach bezsprzecznie zmniejszyć, co z całą przyjemnością stwierdzam, mimo całego uroku, jaki lis na polowaniu daje. O rysiach i wilkach było ogółem tego roku bardzo mało słychać.

Naturalnych innych szkodników zwierzyny nie zauważaliśmy zresztą z wyjątkiem motylicy u zajęcy, które w jesieni padłe w dość znacznej ilości znajdywano.

Wobec tak łagodnego przebiegu tegorocznej, jakoteż kilku ostatnich zim i wobec opisanych stosunków, tak co do pożywienia jak i szkodników, spodziewać się należy, że i tegoroczne polowania wydadzą korzystny, a może jeszcze korzystniejszy wynik i że stan zwierzyny będzie ogółem bardzo dobry. Gdyby myśliwi korzystając z tych przez naturę danych odpowiednich warunków i z pomnożenia ogólnego stanu zwierzyny, zechcieli przy nadchodzącej wiosnie zwrócić szczególniejszą uwagę na tępienie szkodników upierzonych, w takim razie spodziewać się należy, że wyniki przyszłorocznych polowań, byłyby bezwątpienia jeszcze lepsze. Czy jednak na stan zajęcy nie będzie przebieg temperatury miesiąca marca miał niekorzystnego wpływu, nie da się jeszcze teraz należycie osądzić, obawiać się niestety należy, że tak istotnie będzie. Ciepły przebieg temperatury w miesiącu lutym pobudził rozmaite zwierzęta łowne, jak n. p. głuszce, tak w Karpatach jak i Tatrach, do toków, a także i zające do parkotni. Oczekiwać więc należy, że wobec tak niekorzystnej dotychczasowej aury (dzisiaj na dzień 25. na Zwiastowanie leży wszędzie śnieg i pada świeży), młodzież zajęcza marcowa w znacznej ilości, a może w zupełności wyginie.

Kochanowski

„SARNIK“.

Z powodu słowa „sarnik“, które na oznaczenie rogacza, samca sarny, rzeczywiście po raz pierwszy w łamach *Łowca* w pracy p. hr. Sumińskiego się ukazało, otrzymaliśmy kilka korespondencyi, z których pierwszą, p. hr. Jana Tarnowskiego, podaliśmy już w N-rze 5-tym „*Łowca*“. Korespondencye, które wskutek podniesionych przez hr. Tarnowskiego zarzutów do nas nadeszły, podajemy obecnie, zastrzegając sobie przy końcu tej rozprawy głos.

Zaczynamy od korespondencyi hr. Leopolda Starzeńskiego, którego dotąd w żadnej poważnej rozprawie łowieckiej, czy się ona na broń czy na pióra rozgrywa, nie brakło.

Czcigodny towarzysz pierwszych myśliwych w Polsce, na których się hr. Tarnowski w swojej korespondencyi powołuje, pisze:

Podkamień, w marcu.

Do korespondencyi umieszczonej w marcowym numerze *Łowca*, z Chorzelowa, niech mi wolno będzie parę słów dorzucić. Szło tu szanownemu autorowi o czystość języka łowieckiego, a głównie o dwie nazwy: „sarnik“ i „parostki“. Bynajmniej nie śmiałbym twierdzić, ażeby nazwa: „sarnik“, była kaleczeniem mowy, przeciwnie zdaje mi się, że jest zupełnie zgodną z duchem języka naszego. A jednak wyznaję, że tej nazwy nie odważyłbym się używać w pisowni, jest to bowiem wyraz zdrobniały, który wątpię by w literaturze łowieckiej i codziennej myśliwskiej mowie kiedykolwiek prawo obywatelstwa uzyskał. Nie przeczę, iż ten wyraz o wiele lepszy i stosowniejszy, niż używane powszechnie nazwy: „cap, kozioł, rogacz“, które są wprost niedorzeczne. Bo też pytam, co sarna i jej małżonek więcej mają wspólnego z kozą i capem, niż n. p. z owcą i baranem? Wszak i zająca nazywają „kotem“ a nic z nim nie ma wspólnego. A już nazwa „rogacz“, jest najniestosowniejszą, wszak nikt w sarnim rodzie nie nosi rogów; ozdoba ich głów nie jest przecież masą rogową, a i z tego względu nazwa niestosowna, że u nas niestety jeszcze, ta zwierzyna strzelaną bywa przeważnie wtedy, gdy samce nie są „rogaczami“ ale „pendzlaczami“.

Uważałbym za stosowniejszą może nazwę, niegdyś używaną w myśliwstwie, dziś zagubioną, a w niektórych okolicach błąkającą się jeszcze po ustach ludu: „sarn“, którego samica jest sarną. Jest to wyraz zgodny z duchem języka i niezdrobniały. Jeszcze chętniej zgodziłbym się na przyjęcie wyrazu: „parostki“, by usunąć całkiem niesto-

sowny wyraz: „rogi“, gdy mowa o sarnach, jeleniach, łosiach i danielach. Jak już wyżej wspomniałem, ozdoba ich głów nie jest przecież żadną substancyą rogową, jak n. p. u żubra, kozicy, lub naszego rogatego bydła domowego. Przecież żadne zwierze, które rogi nosi takowych nie zrzuca. To też w żadnym języku, w mowie łowieckiej niespotykamy się z nazwą rogi, gdy mowa o sarnach lub jeleniach. W niemieckiem „Geweih“ a nie „Hörner“, w francuskiem „bois“ a nie „cornes“. Dobrze byłoby to u nas zmienić, ale mi się to wydaje rzeczą niemożliwą. Wszelka walka w tym względzie byłaby daremną. Mowa nasza łowiecka stała się tradycyą, którąśmy wszyscy ukochali i ta gwara tylu przed nami pokoleń, nie da się przerobić, choćbyśmy tworzyli o wiele dokładniejsze i stosowniejsze wyrazy. Dlatego to przekonany jestem, że długo jeszcze u nas małżonek sarny zwać się będzie capem, kozłem lub rogaczem, a zwierzyna z rodu sarn, jeleni, łosi i danieli, długo jeszcze chodzić będzie z rogami.

Że dawna nasza terminologia łowiecka nie jest ubogą, łatwo się o tem przekonać przejrzawszy tylko słownik. Są tam skarby nieprzebrane, niestety dziś u nas przeważnie nieznane lub zapomniane. Jakże byłoby pożądanem, by je teraz wskrzesić, odnowić, do myśliwskiej mowy powrócić, choć nie jedne są niestosowne a nawet nielogiczne. Ale one odnoszą się przeważnie do zwyczajów dawnego łowiectwa, które z biegiem czasu tylu przemianom uległo. Nowych nazw, zastosowanych do myśliwstwa teraźniejszego, tam oczywiście brak zupełny; należałoby je stworzyć, byśmy się nie musieli w tym względzie ciągle zapożyczać u Niemców, Francuzów i Anglików. Ot tak n. p. wyraz „Pürsch“ nie jest ani „podchodem“ ani „podjazdem“, istnieje na to słowo staro-myśliwskie mało komu znane i tak rzadko używane: „wytycz“. Lub n. p. „Schweiss-Hund“ nie jest „tropowiec, Spür-Hund“, na to potrzebaby nowego wyrazu, jak i na „Streif-jagd“, „Drucker“ i t. d. Bardzo pożądane byłoby więc takie wskrzeszenie w mowie naszej dawnych, tradycyą uświęconych wyrazów, oraz utworzenie nowych, dzisiejszym potrzebom odpowiadających, ale przerabianie nazw utartych i z gwarą łowiecką zaaklimatyzowanych, choćby stosowniejszemi wyrazami zastąpionych, byłoby w mojem przekonaniu tylko stratą czasu.

L. Starzeński.

Z kolei podajemy głos bezwzględnie przeciwny „sarnikowi“:

Turówka, 6. marca 1900.

Z niekłamaną pociechą i przyjemnością odczytałem w N-rze 5 *Łowca*, list hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa, z protestem przeciw wprowadzonemu od pewnego czasu, a dotąd myśliwym nieznanemu przezwaniu rogacza „sarnikiem“ czy „siarnikiem“. Spotykanie się z tym wyrazem, psuło mi zawsze przyjemność czytania bardzo interesujących i ze znajomością rzeczy i prawdą napisanych artykułów o sarnie; nie mogłem bowiem pogodzić się z tem, żeby znanemu nam od wieków pod mianem rogacza lub kozla zwierzęciu, naraz, bez żadnej, do mojego przekonania trafiającej potrzeby, dawać inne nowe a wcale mu splendoru nie przysparzające nazwanie. To też od początku szemrałem przeciw tej nowości, i agitowałem wśród znajomych myśliwych, żeby tego nowego przezwiska rogacza nie przyjmować. Dziwiło mnie tylko, że żaden z myśliwych, więcej odemnie mających z piórem do czynienia, nie odezwał się w *Łowcu* w tej sprawie, i nie stanął w obronie zawsze dotąd przez myśliwych używanej nazwy rogacza. Nie chciałem zaś pierwszy wyrywać się z tą obroną, pragnąc by rogacz bieglejszego w piórze znalazł rzecznika. Teraz, kiedy początek zrobiony, nie waham się, stanowczo przyłączyć się do protestu hr. Jana Tarnowskiego, i podjąć rzuczonego przez niego hasła, by towarzysze myśliwi nie przyjmowali tego narzuconego rogaczowi przezwiska. Nie ulega wątpliwości, że każdy z nas szczerze by się cieszył, gdyby z ta nową nazwą i nowa jakaś zwierzyna do kniei naszych zawitała; skoro jednak, obok płochych siut naszych, i nadal tylko dobrych znajomych naszych rogaczy spotykać mamy, to i nazwę im dawną zostawmy. Wszak niedosiadamy „klaczyków“, ani do jarzma nie zaprzęgamy „krowików“, nie strzelajmyż więc do „sarników“, tylko wślad ojców naszych, do kozłów i rogaczy. Nie skąpmy im, bodaj w zimie nawalnej, owsa i siana, dbajmy, by miały lizawki i wodę, w strzelaniu do nich umiejmy zachować miarę, a doznamy niewątpliwie za to stokroć więcej dowodów wdzięczności z ich strony w zdybaniu, niż za dawanie im nowych nazwisk. A przeciwnie, gdy strzelać tylko będziemy, zaniedbując chodowli, to może nam zostać tylko nowa nazwa, ta jednak nie zastąpi przyjemności spotkania zwierzyny, która tymczasem zaginie.

Bronisław Rozwadowski.

Doszła nas także następująca korespondecya:

Lwów, d. 7. marca 1900.

Przeczytawszy w „*Łowcu*“, korespondencyę hr. J. Tarnowskiego w sprawie słowa „sarnik“, spieszę donieść, że słowa tego nie można uważać za nowo utworzone — jest ono bowiem używane w Księstwie poznańskiem, w powiecie ostrowskim i odalanowskim, szremskim i pleszewskim, a w Królewstwie w Kaliskiem. Czy używają go gdzie indziej, nie wiem, bo tylko te powiaty, oprócz Galicyi, są mi znane.

K. Sędzimir.

Oprócz tych korespondencyi, które się wyłącznie tylko sprawą językową zajmują, wpłynęło kilka korespondencyi, w których obok innych spraw i tę sprawę podniesiono. Podamy je w następnych numerach. Pochodzą one od bardzo poważnych myśliwych, którzy stają po stronie hr. Tarnowskiego. P. hr. Tarnowskiemu wdzięczni jesteśmy za poruszenie tej sprawy, daje ono bowiem sposobność do wymiany zdań o czystości języka, której bronić jest świętym obowiązkiem każdego. Tu jednak, jak już zauważaliśmy w uwadze naszej, pod artykułem jego umieszczonej, p. hr. Tarnowski, zdaniem naszem, za silnego użył wyrazu, nazywając chęć wprowadzenia wyrazu „sarnik“ chęcią kaleczenia naszego języka i ujmą dla pięknego przedstawiciela naszej zwierzyny łownej, któremu nadaje się tem samem nazwę zdrobniałą, nasuwającą na myśl coś małego, zabiedzonego. Co do pierwszego zarzutu, to ten upada wobec stwierdzenia, że wyraz ten jest używany w Poznańskiem i Kaliskiem, a jak nam skądinąd wiadomo, także w Prusach zachodnich. Co się tyczy zdrobniałości tego słowa, to także, zdaniem naszem, nie jest ten zarzut słusznym — zakończenie bowiem „ik“ nie

jest zakończeniem wyłącznie słów zdrobniałych — mamy liczne słowa, zakończone na „ik“, które nie mają żadnego znaczenia zdrobniałego — a więc „zakonnik, naczelnik, pułkownik, słowik, dzik“ i t. p.

Nie mamy zamiaru kruszyć kopii za wprowadzeniem wyrazu „sarnik“, do naszego języka łowieckiego, zwracamy jednak uwagę, że rzeczywiście daje się odczuwać pewna potrzeba ustalenia nazwy dla „rogacza“. Bardzo wielu myśliwych przy szukaniu wyrazu na oznaczenie samca sarny, waha się w wyborze — i nic dziwnego. Do niedawna jeszcze nie istniały ani rogacz ani koza, właściwie w tem zestawieniu „siuta“, bo zabijano na polowaniach wszystko, co się pod lufę nawinęło — wskutek czego rzeczywiście mniej i w mowie myśliwskiej o oznaczenie rodzaju chodziło. Od czasu, gdy ustawa wprowadziła ochronę siut, sprawa nazwy dla samca sarny stała się, że się tak wyrazimy, aktualną. Przejdźmy zatem wyrazy, których na oznaczenie pojęcia tego używano. Pierwszym jest rogacz, najodpowiedniejszy może, bo oryginalny i rzeczywiście sarnie i jeleniowi wyłącznie służący, następnie bardzo często używany „sarniuk“, który niedaleko od „sarnika“ stoi, wreszcie „kozioł i cap“, pożyczone od innego gatunku zwierząt, prawdopodobnie pod wpływem języka niemieckiego. Wodzicki używa prawie wyłącznie wyrazu „rogacz“, „rogaczyk“, ale używa także „sarniuk“ i „sarniuczek“. Józef hr. Dunin Borkowski pisze w swoim spisie wyrazów dawnych łowieckich, że samiec sarny nazywa się „sarniec“. Słowo to wymienione jest także w artykule „*Łowca*“ pod tytułem „Słownictwo łowieckie“. Używano oprócz tego w dawnym języku słowa „saren“ — którego do dzisiaj dnia używają na Kaszubach. W końcu lud w zachodniej Galicyi używa słowa „sar“ i „sarek“.

Jeżeli przyjmie się, że samiec sarny nosi „rogi“, to w takim razie słowo „rogacz“ jest z podanych wyżej powodów najodpowiedniejszem — sarnę jednak należałoby już stale nazywać „siutą“, to jest bezrożną. Należałoby zaś odrzucić słowa „koza, kozioł, cap“, bo te zapożyczone są od innego gatunku zwierząt.

Ci, którzy i nazwę „rogacza“ pragną odrzucić, wychodzą z tego zapatrywania, że sarna nie ma rogów, lecz inną formacyę, której nazwa jest „parostki“. Co się tyczy tego słowa, to na razie nie mogliśmy dojść dokładnie jego etymologicznego pochodzenia — stwierdzamy tylko, że pojawia się ono w „*Łowcu*“ po raz pierwszy w r. 1878, w kalendarzu za luty, że od tego czasu coraz częściej się z tym wyrazem tak w piśmie jak i mowie spotkać można było, że w końcu ś. p. Spausta stanowczo tego wyrazu na oznaczanie rogów rogacza używał i że, zdaje się, on właśnie obywatelstwo temu wyrazowi wyrobił. Celem odkrycia pochodzenia tego wyrazu czynimy dalsze poszukiwania i podzielimy się ich wynikiem z szanownymi czytelnikami.

Co się tyczy korespondencyi p. Rozwadowskiego, musimy uczynić uwagę, że użyte przez niego porównania kuleją. Nikomu nie przyjdzie na myśl wprowadzać słowa „klaczyk“, bo nazwa gatunkowa konia jest rodzaju męskiego. Dążenia do wprowadzenia jakiegoś wyrazu dla samca sarny są usprawiedliwione, bo „sarna“, nazwa gatunkowa, jest rodzaju żeńskiego.

Redakcya.

POLOWANIE W ROZHURCZU.

Wiatr z gór, z lasów mnie owionął!
Na mej twarzy zapał płonął!
Z wielkich wzruszeń serce biło!
Żem w Rozhurczu, — znów się śniło!

W niedzielę 25. lutego b. r. wieczór, zebrała się szczęśliwa drużyna myśliwska w Rozhurczu, u panów Włodzimierza i Tadeusza Barańskich, by przez poniedziałek i wtorek zapolować w ich wspaniałej kniei.

Rezultat, to rzecz względna, zależna od tylu okoliczności, a szczególnie od samych myśliwych i od pogody Nasza drużyna składała się przeważnie ze strzelb dobrych i znanych w kraju łowców, a słońce jaśniało nam cudne i ciepłe, ubarwiało nam uroczy krajobraz, ubrało go w ramy z lazuru i tęczowych blasków, ale wypędziło nam dziki w zimniejsze północne stoki gór. Zastaliśmy ich mniej, niż to spodziewanem było. A słonko chyba dobrze przygrzywało, jeżeli widzieliśmy bujające skowronki, muchy i motyle! Śniegu nie było ani śladu!

W poniedziałek już o 8 rano siedzieliśmy na koniach, a po odfotografowaniu nas przez pana Piegłowskiego, puściliśmy się gęsiego pod strome stoki gór; za nami chłopcy nieśli naszą broń. Wąż nasz posuwał się zwolna, ale wytrwale, a im wyżej byliśmy, tem rozkosznej było nam widzieć te śliczne góry i olbrzymie lasy. Po dobrej godzinie drogi zsiadamy z koni i bierzemy jako:

Miot I. „Żydowskie zręby“ na przerąb rysia.

Stoję na stanowisku. Przedemną cudowny roztacza się widok! Na lewo, prastare bukowe lasy, za nimi czarne spiętrzone olbrzymy gór, uwieńczone u szczytów śniegiem, wszędzie jary i parowy! Na prawo na dole rozciąga się ogromna równina, którą srebrnym wężem przerzyna Stryj; dalekie wioski leżą, jak na dłoni. Krajobraz cały cudowny, jasny, zalany światłem słonecznem, pod kopułą pięknego lazurowego nieba.

Na widok tej wspaniałej natury, wkradają się w serce widza dwa sprzeczne z sobą uczucia. Raz, zdaje ci się, że jesteś jakąś potężną nadludzką istotą, czujesz, że potrafisz bujać nad temi górami wyżej niż orzeł, przebiegać je chyżej, niż jeleń, widzisz w całej otaczającej cię przyrodzie, w tych martwych skałach i zwalonych pniach, jakiegoś jednego potężnego ducha i ty zdajesz się być jego cząstką. Popadasz w panteizm, czujesz potęgę wszechbytu.





Polowanie w Rozhurczu.

Wkrótce jednak przychodzi inne uczucie, które pokonuje pierwsze i ruguje je z twych piersi! Widząc te góry, skały, widząc tę niesłychaną potęgę stworzenia czujesz, się marnym prochem wśród tych olbrzymów, korzysz się przed doskonałym Stwórcą, a usta twoje szepczą w podziwie i zachwycie: „Potężnym jest Pan“.

Chwilę stałem tak rozmarzony, gdy trąbki zagrały, nagonka ruszyła i dały się słyszeć rewolwerowe strzały z jej strony, by zwierza do wyjścia na linię sforsować. Wkrótce zatętniła przedemną ziemia — serce zabiło młotem — ręka nerwowo chwyciła za sztuciec — wypadły na mnie jelenie, było ich dziesięć — i znikły w gąszczach. Św. Hubert pobłogosławił mi w tym miocie, bo nietylko obdarzył mnie widokiem tych królów naszych gór, ale wślad za nimi przysłał mi dużego wilka, którego kulą zabiłem. W tym miocie był dzik, który jednak wymknął w tył. Wilk zabity jest dużym starym basiorem o pięknej ciemnej, czarnej na grzbiecie sukni.

Miot II. „Narty.“ Zastajemy tu kilka dzików. Hr. Stadnicki zabija w przeciągu kilka minut dwa odyńce. Prócz tego chybiono do maciory z warchlakami i do dwóch rogaczy.

Miot III. „Krótki“ na drogę cesarską. P. Onyszkiewicz zabija na sztych olbrzyma odyńca, na p. Tad. Barańskiego, wypadają dwie lochy, które rulują w ogniu w dublecie. Prócz tego chybiono dwa dziki.

Miot IV. „Czerenina“ p. Piegłowski zabija odyńca. 5 dzików uderza w tył.

Miot V. „Zuliński“. Dzików nie ma. Padają dwa rogacze zabite kulami.

Wracamy do domu szczęśliwi, weseli, jak wybrane duchy. Słońce już zaszło, przeleciał wietrzyk, bór zaszumiał z cicha opiewając dzień dzisiejszy, a pieśń ta leciała na skrzydłach szumu drzew hen, w dal ku górom, powtórzyły ją buki bukom, jodły jodłom, szczyty szczytom.

Na drugi dzień polowaliśmy, już na dołach — niestety nie spotkaliśmy się z dzikami, które poszły wyżej, tam gdzie zimniej, na północne stoki.

W tym dniu zabiliśmy 6 rogaczy i 5 lisów. Chybiono 5 rogaczy i 1 lisa.

Rezultat z dwóch dni: 4 grube odyńce, 2 grube samury, 9 rogaczy, 7 lisów, 1 wilk.

Polowanie prowadzili gospodarze w tak trudnym terenie wzorowo, energicznie i z całą znajomością rzeczy.

Jak knieja dała nam wszystko, co miała najlepszego w swem lesistem łonie, tak i gospodarze przyjmowali swych gości z staropolską gościnnością. Lał się płyn perlisty, a humory po takich łowach musiały być złote.

Za tych chwil kilka rozkoszy, emocyi i szlachetnych wzruszeń „Bóg zapłać“, kochanym gospodarzom od całej drużyny. Kiedyś, jak trąbka znów zabrzmi w uroczych Waszych górach, może i ja ją usłyszę, jeżeli dożyję i na pamięć Waszą zasłużę, a wilk, którym mnie obdarzyliście wspaniałomyślnie, nietylko będzie zdobił moje ściany, ale mi codzień opowiadać będzie o ślicznem polowaniu w Rozhurczu i o waszej serdecznej gościnności.

Makuniów, w marcu 1900.

Albert Mniszek.

KORESPONDENCYE.

Szumlany, 10. lutego 1900.

„Nie ma nic złego, coby na dobre nie wyszło!“ — stare to jak świat przysłowie — i pomimo dziwnie zestawionych w niem pojęć — nie podobna mu nieraz odmówić pewnej racyi, bo i oto najlepszy dowód: trzeba było, żeby mi dziś gajowi przynieśli z lasu postrzeloną sarnę — ażebym zdecydował się przecież raz spełnić powinność moją — jako delegata na powiat podhajecki.

Po części więc już się to przysłowie sprawdziło, bo pod wpływem nerwów chwytam pióro do ręki, ażeby skreślić choć pobieżne sprawozdanie, do którego od półtora roku prawie byłem obowiązany. Nie to jednak głównie miałem na myśli, bo prawdziwe „dobro“ wyniknąć powinno z niniejszego sprawozdania, jeśli naprowadzane w niem fakta spowodują gorliwych i wpływowych towarzyszy w św. Hubercie do energicznego zaradzenia tym karygodnym anomaliom, jakie w naszej okolicy na porządku dziennym się zdarzają, a że jakieś wewnętrzne przeczucie szepcze mi, że skargi moje nie będą „głosem wołającego na puszczy“, przeto z otuchą jakąś i z jakiemś wewnętrznem zadowoleniem przystępuję do rzeczy:

Mieszkając w północno-zachodniej polaci powiatu podhajeckiego, tylko o tej okolicy mówić będę, bo okolicę tę i stosunki tutejsze znam dobrze od dziecka, a jeśli zawadzę o wschodnią część powiatu rohatyńskiego i południową brzeżańskiego, to nietylko dlatego, że i tę okolicę znam równie dobrze, ale i dlatego, że nie spotkałem się jeszcze dotychczas w łamach „*Łowca*“, ze sprawozdaniem delegata rohatyńskiego, a także i dlatego, że przedstawienie stosunków łowieckich w graniczących powiatach jest mi niezbędnie potrzebne do tego opisu.

Okolica, o której mówię jest przeważnie lesistą, bo wielkie kompleksy lasów sąsiadujących majątków łączą się ze sobą, tworząc nieprzerwany prawie szmat lasów ciągnący się przez powiaty: złoczowski, przemyślański, rohatyński, brzeżański, podhajecki i buczacki. Że jeszcze przed 20-tu laty trochę inaczej te lasy, tak pod względem łączności, jak i wyglądu przedstawiały się, chyba nie potrzeba o tem wspominać, bo wystarczy tylko przeglądnąć skorowidz, ażeby sądząc po nazwiskach byłych lub obecnych właścicieli niektórych majątków domyśleć się, co się z lasami stać mogło.

Krew ścina się w żyłach, gdy się spotyka n. p. na granicy „leśniczego“ w długim, postrzępionym i po kostki sięgającym hałacie, „ze strzelbą na ramieniu“.

Zamiast prześlicznych dębin i buczyn, gdzie jeszcze przed 40 laty, wycie wilków i rechkanie licznych stad dzików nie dziwiło uśpionych mieszkańców tych borów, wi-

dzimy dziś dymiące w sierpniu lokomobile, albo porozrzucane chaty osiadłych na rozparcelowanych obszarach lasów włościan, albo wreszcie całe przestrzenie leszczyny, pospasanej pasącem się tam wciąż bydłem pana dziedzica, dzierżawcy lub leśniczego.

Pocóż jednak rozdrapywać tą jątrzącą i bolesną ranę. Zapomnijmy więc na chwilę o lepszej przeszłości i powróćmy do rzeczy.

Wszystkie te zamachy nie zdołały jednak w zupełności przerwać łączności tych rozległych borów. Tu i ówdzie widzi się luki, ale lasy te jeszcze dziś zasługują jeśli nie na nazwę rozległych borów, to przynajmniej rozległych przestrzeni leśnych.

W tych to lasach uganiał się za dzikami ś. p. hr. Wodzicki, tu niejeden szczegół nie uszedł uwadze tego znakomitego badacza przyrody. Dziś zabrakło już dębów a więc dziki stały się rzadszymi i trzymają się stale tam, gdzie ich rębnią gorączkową nie płoszą.

Pagórkowate położenie, grunt suchy, zdrowa źródlana woda, liczne polany leśne, zaciszne kotliny leśne i często spotykane debry, wszystko to sprzyja w wysokim stopniu egzystencyi wszelkiego rodzaju zwierzyny, to też polowania tu są bardzo przyjemne pod tym względem, że spotyka się wielką rozmaitość, bo dzik, kozioł i lis nie są rzadkością. Strzela się nie wiele, ale ma się przynajmniej tę satysfakcyę, że ze wszystkiem spotkać się można. Jarząbek dawniej dość liczny, teraz z niewiadomych dla mnie przyczyn prawie wyginął w tych stronach. Sądzę, że niesprawiedliwością byłoby czynić za to odpowiedzialnym lisa, bo dawniej lisów było tu o wiele więcej, a jednak jarząbek był czemś pospolitem. Zagadka to dla mnie prawdziwa!

Zając w głębi kompleksów jest słabo reprezentowany ale bliżej krajów lasu i w laskach mniejszych, a przytem tam, gdzie się dba o zwierzostan, jest dość liczny. Nie ma go zato w polu otwartem, a przyczyną tego są psy właściańskie cały Boży rok włóczące się z chłopem i dopóki nie zmienią się pod tym względem stosunki na lepsze, niepodobna się spodziewać, ażeby zająca można w polu spotkać.

Począwszy od lutego t. j. od pory, w której nasz chłop zaczyna wozić nawóz w pole, a skończywszy na październiku, widzi się na polach setki psów. Czyż dziwić się można, że wobec tego ani zając ani kuropatwa utrzymać się tam nie mogą? Chłop wiezie nawóz w pole, pies za nim, chłop orze i sieje, pies z nim. Chłop sadzi kartofle lub wybiera konopie, pies koło niego. Chłop pędzi bydło na pastwisko, pies znowu za nim, jednem słowem: ile dni w roku i ile ludzi w polu, tyle psów, każdy pies zlustruje nietylko swój kawałek ale i sąsiednie, a więc każdy kawałek pola bywa codzień przez kilka psów i kilka razy na dzień przeszukany, czyż to więc możliwe, ażeby ta zajęczyca mogła spokojnie urodzić, albo kuropatwa wylęgnąć i zachować przy życiu swoje młode?

I pytam się: po co właściwie ten chłop tego psa ze sobą wodzi? bo pojmuję, że pies może mu wyświadczyć przysługę wówczas, gdy on orze. Myszy i pędraki wyorywane za skibą, to plaga nasza, a więc piesek może być wtedy użytecznym rolnikowi, a nie szkodzi wówczas zwierzynie, bo tylko swoją pracą zajęty chodzi za swoim panem za pługiem i nie myśli o czem innem, jak tylko o myszach lub pędrakach. Ale poco ten pies potrzebny chłopu podczas wywózki nawozu, wybierania konopi, paszenia bydła, lub żniw i zwózki zboża, to doprawdy pojąć tego nie potrafię i pewnie nikt tego nie pojmuje, a nawet sam chłop nie zdaje sobie z tego sprawy. Jestto po prostu przezwyczajenie, konserwatyzm i nic więcej.

Na pozór zdaje się, że temu zaradzić można, bo przecież §. 43 ustawy łowieckiej z r. 1897 powiada wyraźnie: „Włóczące się psy, tudzież koty po polach i lesie mogą być przez uprawnionego do polowania lub jego służbę łowiecką zabijane i t. p.“ Ustawa więc jest, ale na papierze, bo wykonanie jej jest niekiedy wprost niemożliwem i napotyka na trudności, których ustawodawca widocznie nie przewidział. Na utrzymanie o s o b n e j straży łowieckiej pozwolić sobie może tylko człowiek bardzo majętny, w regule zaś funkcyę straży łowieckiej pełnią leśniczowie i gajowi, którzy tylko w lesie zajęci, nie mają nic do czynienia na otwartem polu, a więc tam nie ma komu tych psów zabijać, a wreszcie choćby nawet chciał ktoś zastosować ten § ustawy i w polu, czy mógłby to uczynić bez narażenia się na tysiące nieprzyjemności, przekleństw, narzekań i t. p. chłopa, któremuby na jego niwie psa odważył się zabić?! Trzeba znać nasz lud, jego nawyczki i jego własną odrębną i jemu tylko właściwia filozofię, ażeby przyjść do przekonania, że to wszystko jest wprost niewykonalnem.

Wreszcie trzeba być i sprawiedliwym: czyż nie przykrą byłoby rzeczą dla każdego z nas, gdyby nam ktoś naszego psa pod nogami zastrzelil!? Już samo strzelanie do psa, jest rzeczą arcyniemiłą, a cóż dopiero widok własnego psa strzelanego przez obcego człowieka, a jeszcze do tego niejednokrotnie źle strzelonego, wijącego się z bolu i dobijanego! Zdaje mi się, że mi w tym względzie każdy przyzna racyę.

Myliłby się też i ten, ktoby rozumował w ten sposób, że zastrzeleniem kilku psów położy się tamę owemu ciąganiu psów za sobą, że chłop przekonawszy się, że mu psa zabiją, gdy go weźmie ze sobą w pole na pastwisko, że go pozostawi w domu. Gdzie tam! tu znowu muszę powtórzyć to samo: trzeba nie znać naszego chłopa, ażeby łudzić się tego rodzaju przypuszczeniami. Chłop widząc, że mu psa chcę zabić, odwoła go, weźmie go na rzemyk, a gdy strażnik się oddali, puszcza go znowu i pies sobie dalej buszuje po polu.

Na podstawie doświadczeń własnych i na podstawie znajomości usposobienia naszego ludu, stanowczo twierdzę, że strzelaniem psów, które chłopi ze sobą zabierają w pole, do niczego się nie doprowadzi, nie osiągnie się przez to nic dobrego, przeciwnie, takiem postępowaniem spotęguje się jeszcze bardziej ową nieufność i niechęć jego do „obszarnika“, a zatem dopomożemy tylko w ten sposób tym niepowołanym opiekunom ludu, którzy nad tem tylko pracują, ażeby tę wrodzoną chłopu naszemu nieufność w czyn zamienić.

Jakże tu więc wydostać się z tego błędnego koła? Szkodliwem bardzo jest dla łowiectwa owo wałęsanie się psów po polu i tak być dalej nie może, bo wobec tego zwierzostan nigdy się u nas nie podniesie, gorszem jednak jeszcze jest i owo strzelanie psów w o b l i c z u i c h w ł a ś c i c i e l i, a to ze względów społecznych, z którymi przecież my bardziej aniżeli z czem innem powinniśmy się liczyć!

Mojem zdaniem możnaby zaradzić temu w całkiem pojedynczy sposób: oto postarać się o zmianę łowieckiej ustawy w tym duchu: „Psy i koty s a m o p a s t. j. bez

właściciela włóczące się po lasach i polach mogą być przez uprawnionego do polowania lub jego służbę łowiecką zabijane, a ponadto osobiście odpowiedzialnym jest właściciel takiego psa, i jeśli mu dowiedzionem zostanie, że pies jest jego własnością, winien złożyć grzywnę 1 kor. na rzecz specyalnie w tym wypadku utworzonego funduszu, pozostającego pod kontrolą władzy a przeznaczonego do popierania łowiectwa w kraju. Drugi punkt: „Nie wolno nikomu wyprowadzać ze sobą w pole i do lasu psów inaczej, jak tylko na uwięzi. Wyjątek stanowi uprawniony do polowania lub jego służba łowiecka, o ile psy ich służą do polowania“.

„Przekroczenie tego zakazu pociąga za sobą karę: za pierwszym razem 1 kor., za drugim razem 5 kor., za trzecim razem 10 kor. i t. d. w tym stosunku progresywnie. Grzywny z tego źródła pochodzące wpływają do funduszu pozostającego pod kontrolą władzy, mającego na celu popieranie łowiectwa w kraju. Nad wykonaniem tej ustawy czuwać ma c. k. żandarmerya, uprawniony do polowania oraz jego służba łowiecka, pod osobistą odpowiedzialnością“.

Zmiana ustawy łowieckiej w tym duchu powinna osięgnąć cel zamierzony, bo nie tylko zapobiegnie owemu nałogowi ciągania psów ze sobą, nie tylko zmusi każdego do czuwania nad swoim psem, ale przyczyni się też do stworzenia funduszu na cele łowiectwa, przy pomocy którego dałoby się jeszcze wiele pożytecznego zdziałać dla podniesienia tej w uśpieniu jeszcze pozostającej gałęzi gospodarstwa krajowego.

Myśl tę rzucam w tej nadziei, że nad nią szanowni czytelnicy nie przejdą do porządku dziennego, ale że wywoła ona dyskusyę nad tym tematem, co już samo jest rzeczą pożyteczną, bo zdradza zainteresowanie się ową piekącą sprawą psią, która może jest większej wagi, aniżeli sprowadzanie węgierskich zajęcy, bo na podstawie zasad chodowli nie tylko powątpiewam w udanie się tego experymentu, ale poprostu na pewne twierdzić mogę, że choćby węgierski, a więc południowy zając w naszym klimacie wytrzymał, to nie będzie on odporniejszym na niepokojenie go przez psy chłopskie od naszego.

Po wyczerpaniu tematu, co do kwestyi „psiej“ powracam do rozpoczętego opisu naszych terenów łowieckich.

Jak powiedziałem w lasach naszych łączących się z większymi kompleksami, dzik jest stałym, w innych przechodnim zwierzem, stan sarn miejscami zadowalniający, w innych zaś z powodu rozwielmożnionego kłusownictwa wiele pozostawia do życzenia, stan zajęcy w krajnych lasach zależy od tego, jak gdzie traktują łowiectwo t. j. dla amatorstwa i ze znajomością rzeczy, lub też dla kuchni i mięsa. Stan kuropatw również zależy od tego, gdzie mniej lub więcej są one niepokojone przez wałęsające się psy chłopskie.

Z powodu ostatniego szeregu lekkich i bezśnieżnych zim, stan ich w ogóle się polepszył, ale o czemś nadzwyczajnem nie ma mowy. Polowania błotne i stawowe ledwie na wzmiankę tu zasługują, bo dolina Złotej Lipy osuszona regulacyą tej rzeki, dolina zaś Narajówki przecięta nowo powstałą linią „Halicz-Tarnopol, nie sprzyja już w tym stopniu ptactwu błotnemu i wodnemu. Przepiórek, jak wszędzie, tak i tu coraz mniej, jednem słowem sezon letni z psem legawym dla wybrednego myśliwego nieświetny. Ciąg słonek wiosenny w r. 1898 był bardzo piękny, tak samo i jesienny w tymże roku, ale za to rok 1899 zapisał się niefortunnie w naszym notatniku łowieckim — co przyniesie nam wiosna i jesień r. 1900, trudno jeszcze przewidzieć.

Sprawozdanie niniejsze jest tylko ogólne, bo głównem jego zadaniem jest, jak to na początku zaznaczyłem, poruszenie niektórych piekących kwestyi, które mają decydujący wpływ na nasze stosunki łowieckie, a które poruszam w tym celu, ażeby spowodować protest tych osób, którym dobro łowiectwa w ogóle, a więc tem samem i dla naszych stron nie będzie obojętne.

Przystępuję zatem do drugiej ważnej sprawy, a tą jest niepoprawne, gorszące i barbarzyńskie kłusownictwo, przeciw któremu walczymy od dawna, ale nie mogąc sobie już dać rady, jesteśmy zniewoleni prosić na tej drodze szanownych członków naszego Towarzystwa, dla których tego rodzaju sprawa, nie jest obojętną, o radę i pomoc.

Ponieważ „polowanie na kuchnię“ bez przestrzegania przepisanego ustawą czasu ochronnego, oraz płci rodu sarniego, uważam również za kłusownictwo, a nawet tem karygodniejsze, że tolerowane przez samego uprawnionego do polowania, a więc ludzi inteligentnych, przeto mówiąc o kłusownictwie, nie mogę pominąć tych nadużyć, jakich jesteśmy świadkami na porządku dziennym. Od ognia, gradu i wojny i od takiego sasiada, który nie będąc sam myśliwym, pozwala polować na kuchnię, chroń nas Panie! A cóż dopiero, gdy się ma takich sąsiadów na lewo i prawo! I tak sąsiad X. nie będąc sam myśliwym pozwala polować na kuchnię, a także poluje tam kto chce i nie chce. Pan leśniczy, który nawiasem mówiąc, był przedtem w sąsiedztwie drugorzędnym gajowym, strzela śrótem do rudla sarn, czyli jak to mówią „w kupę.“ Widocznie uważa on to za praktyczniejsze, bo jeśli nie jedną, to dwie sztuki od razu można uśmiercić, a cel jest osiągnięty, bo mięso jest!

Z psami gończymi poluje się tu ciągle i psy te unoszą się za sarnami w sąsiednie lasy, rozpędzają i niszczą zwierzynę.

Przed paru tygodniami pewien sąsiad mój słysząc strzał i gonienie psów, podbiega na głos i co spostrzega w swoim lesie: oto sarna (siuta) postrzelona, szamocąca się w uścisku psa, który trzyma ją za gardło, a drugi pies wydziera jej wnętrzności. Naturalnie jednego psa ubił śmiertelnym strzałem, a drugiego postrzelił, ale cóż z tego, kiedy sarna już żyć nie mogła.

Dziwne to, że jeden pies był własnością rządcy p. X., a drugi własnoćcią komendanta posterunku c. k. żandarmeryi, stacyonowanego w tej miejscowości (*relata refero*).

Ot! jakby tu w tym wypadku przydała się ustawa przezemnie wyżej proponowana, co do grzywny za goniące psy po cudzym lesie!

Warto, ażeby c. k. starostwo rohatyńskie wglądnęło w tę gospodarkę łowiecką, jaka się praktykuje na kresach powiatu.

Drugi znowu sąsiad (w powiecie podhajeckim), p. Y. posiada również leśniczego, tym razem już exślusarza, który jak długi rok, a więc bez względu na to, czy to wiosna, lato, jesień, lub zima, poluje z psami gończymi. Ten Nemrod znowu ma specyalną taktykę łowiecką, bo staje sobie „na granicy“, a pieski buszują po sąsiedniej kniei i jak los zdarzy, tak się powiedzie. Siuta, lub szpiczak, dzik lub zając w maju, lub sierpniu, wszystko to jedno, byle była zwierzyna i mięso!

Także zasiadki wśród księżycowych nocy, to specyalność tego pana leśniczego. Naturalnie nie trzeba dodawać, że w nocy nie trudno, tak przypadkiem zmylić granicę i przez pomyłkę zasiąść na terytoryum sąsiada! Wszak to ludzka rzecz, pomylić się przecież każdy może. W dzień i noc więc padają strzały na granicy lub w pobliżu i człowiekowi nie wiem co się dzieje, gdy liczy te strzały, wiedząc przytem, że te wszystkie strzały padają do jego własnej zwierzyny, która we własnym lesie wychodowana i wypielęgnowana idzie tam za granicę na swoją zgubę.

Zdarzyło się raz, że spotkawszy we własnym lesie goniące psy tego leśniczego, szczęśliwym dubletem przerwałem im to polowanie, lecz jaki rezultat!? Oto p. sąsiad zamiast zganić to swemu leśniczemu, śmiertelnie się na mnie rozgniewał za ten „niesąsiedzki uczynek“.

I czy nie lepiejby było i w tym wypadku, ażeby obowiązywała proponowana przezemnie ustawa? Pan leśniczy byłby przed zabiciem mu psów zapłacił tyle grzywien, że kto wie, czy upolowane „mięso“, byłoby się mu opłaciło, a po zabiciu psów byłby jeszcze raz zapłacił, a ja byłbym może uniknął gniewów pana sąsiada, bo ze względu na grzywny byłby sie nietylko wyparł psów, ale może i swego leśniczego!

Przod rokiem uzbierałem dość danych, co do sprawek „leśniczego“ i cytując świadków, doniosłem do starostwa. Starostwo podhajeckie bardzo energicznie tą sprawą się zajęło, ale jaki wynik?! Świadkowie zaprzeczyli wszystkiemu, co poprzednio zeznali, i winowajca okazał się „niewinnym“.

Chodziło tu o ubicie siuty, która nawet zjedzoną została na weselu u pisarza gminnego, o zające strzelane przy księżycu na mojem terytoryum i t. p. Świadkowie nie zostali zaprzysiężeni, bo na to ustawa nie zezwala, a więc prawdy z nich wydobyć nie można było i w ten sposób sprawa wzięła w łeb, a pan „leśniczy“ śmieje się w kułak i ta „wygrana“ może go jedynie zachęcić do próbowania dalej szczęścia na tem polu, bo byle pozyskał sobie świadków, a wszystko dobrze musi się skończyć.

Pytam więc, czy i pod tym względem nie zachodzą znaczne braki w ustawie? czy nie należałoby pomyśleć o tem, ażeby braki te usunąć i obmyśleć coś takiego, coby „wykręcenie się sianem“, takiego ptaszka uniemożliwiało?

Nie jestem prawnikiem, a więc nie umiem o tem dysputować, konstatuję jedynie fakt i czuję, że tak, jak jest, dobrze nie jest!

Poruszywszy sprawę „kłusownictwa na kuchnię“, przystępuję teraz do typowego kłusownictwa uprawianego przez okolicznych chłopów.

Dawni właściciele majątków leśnych w tej okolicy położonych zapisywali, lub zapisywali swoim krewnym lub też z innego tytułu znaczne przestrzenie swych lasów (po kilkaset morgów) właścicielom oddalonych majątków podolskich. Stąd to poszło, że właściciele odległych majątków podolskich, posiadali lub posiadają w gminach: Bożyków, Litwinów i t. p. znaczne kompleksy lasów, jako osobne korpusy tabularne.

Już przed 20 około laty poczęli owi właściciele pozbywać się tych lasów, jużto odsprzedając je tutejszym sąsiednim właścicielom majątków, lub też spółkom włościańskim, składającym się z tutejszych włościan. W późniejszych atoli już czasach, gdy cena drzewa w naszej okolicy się podniosła, korzystniej już było najpierw las wyciąć, a potem grunt odsprzedać chłopom, bo utrzymanie leśniczego w wyciętym lesie opłacać się nie mogło. Stąd to więc poszło, że kilka znacznych kompleksów leśnych przeszło w ręce okolicznych chłopów, którzy podzieliwszy między siebie nabyty las, wycięli go i zamienili na pastwisko, albo też nabywszy już wycięty las, naturalnie nie odnawiając go, zamienili lub zamieniają powoli na pastwisko, sianożęć, lub rolę.

Ponieważ terytoryum takie nie może być uważane za terytoryum gminne, więc też polowanie na niem nie bywa nikomu wydzierżawiane w drodze licytacyi, a więc właściwie nikt nie ma prawa polowania na takiem terytoryum.

Te właśnie tereny są najdogodniejszym terenem dla „pasożytów-kłusowników“, bo kłusownik taki wybiera się tam swobodnie i z całym spokojem może bić, co mu pod lufę przypadnie, wiedząc dobrze o tem, że mu tu nikt nie przeszkodzi w jego robocie, nikt bowiem ze sąsiadów nie ma prawa wstąpić na to terytoryum, żandarmowi tędy droga nie wypada, bo są to grunta w środku rozległych lasów położone i od dróg publicznych i od osad znacznie oddalone. Jeśli do tego uwzględni się i to, że pastwiska takie po wycięciu lasów powstałe, a wśród rozległych i głębokich lasów położone są ulubionem żerowiskiem dla sarn i zajęcy, łatwo zrozumieć, ile szkody tacy kłusownicy na wieczornych i nocnych zasiadkach wyrządzają.

Słyszy się więc strzały cały rok tu padające, ale cóż, kiedy człowiek jest bezradnym, bo i jakże tego kłusownika schwytać lub zdemaskować, skoro nie wolno mu tam wkroczyć i skoro nie ma kogo o to się uczepić, bo prawnego właściciela polowania na takiem terytoryum nie ma.

Odnosiłem się już w tej sprawie do c. k. starostwa podhajeckiego, jako delegat Towarzystwa i przedstawiwszy całą sprawę, proponowałem: 1) zamknięcie polowania na takich terytoryach na lat parę; 2) oddanie dozoru nad zwierzostanem osobnym dozorcom łowieckim, najlepiej sąsiednim zaprzysiężonym strażnikom lasowym; 3) lepszą kontrolę c. k. żandarmeryi nad tymi gruntami, szczególniej wieczorami i podczas księżycowych nocy.

Spodziewać się więc należy, że skoro c. k. starostwo tą sprawą się zaopiekuje i podane postulaty uwzględni, że kłusownictwo w swoich podstawach się przełamie, ale jeszcze raz powtarzam, tylko wtedy to będzie możliwem, jeśli te trzy warunki zostaną uwzględnione.

Przy znanej energii naszego pana starosty możemy się spodziewać, że złemu potrafi zapobiec, ale pospiech w działaniu jest wskazany, bo z każdym dniem coraz więcej szkody.

Najlepszym dowodem jest wspomniana na początku siuta postrzelona, którą gajowi moi mi dziś przynieśli, a która strzelona dwoma „siekańcami“, padła w moim lesie przy granicy właśnie jednego z tych terytoryów kłusowniczych. W tem samem miejscu znaleziono też w czerwcu ubiegłego roku szpiczaka, postrzelonego również „siekańcami“. Wszystko to robota bożykowskich chłopów, a specyalnie ich gajowego, który cały dzień sypia, a wieczorami i nocami wałęsa się po lesie i bije, co mu pod lufę wpadnie. Pracować ten człowiek nie potrzebuje, bo mu jego zajęcie znaczne przynosi korzyści, a jeszcze większe jego odbiorcom wyznania mojżeszowego, którzy na-

turalnie za bezcen od niego owo „mięso“ kupują i ze zyskiem spieniężają. Niekiedy jednak nie mogąc się z nimi pogodzić, wiezie owo „mięso“ do Brzeżan, gdzie ma mieć podobnych odbiorców.

Na tem miejscu nie mogę się powstrzymać, ażeby nie zawadzić znowu o naszą ustawę łowiecką, a mianowicie o kwestyę t. zw. certyfikatów dla handlarzy zwierzyny.

Słusznie już podnoszono w „*Łowcu*“, że plombowanie zwierzyny na uchu, nosie i t p., byłoby właściwszem i jedynie do celu prowadzącem, ale samo plombowanie jeszcze nie usunie nadużyć. Potrzeba ściślejszej kontroli na przedmieściach, a kontrola taka byłaby ściślejszą i szerszą, gdyby istniał fundusz przeznaczony na udzielanie wysokich nagród za wykrycie nadużyć tego rodzaju. A więc jednem słowem potrzeba lepszej kontroli i jeszcze raz: kontroli, ale zarazem i pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy!

Rozpisałem się również dość szeroko o owych „niezależnych“ terenach łowieckich, bo ustawodawca i tego nie przewidział, że może zajść tego rodzaju wypadek, ażeby egzystować mogły znaczniejsze obszary, bo kilkaset morgów liczące, a co do którychby zachodziła kolizya pod względem wykonywania prawa polowania.

Sprawa ta jest wielkiego znaczenia i sądzę, że nie pierwsza w swoim rodzaju, dlatego to i ta kwestya nie powinna nam być obojętną, i rozjaśnienie jej wielkąby łowiectwu naszemu przyniosło usługę.

Oprócz wyżej wspomnianej kategoryi kłusowników, otoczeni jesteśmy zewsząd kłusownikami do tego stopnia, że wszelkie starania o zwierzynę są tylko daremnym wysiłkiem.

Najgorzej tam się dzieje, gdzie dwa albo trzy powiaty łączą się ze sobą, bo żandarmerya do kresów nie dochodzi, a więc kłusownicy czują się bezpiecznymi.

Lipica górna, w powiecie rohatyńskim, Trościaniec i Mieczyszczów, w powiecie brzeżańskim, Bożyków i Rudniki w powiecie podhajeckim, oto główne wsi, dostarczające kontygentu kłusowników.

Na te to więc wsie wypadałoby zwrócić uwagę pp. starostów: rohatyńskiego, buczaskiego i podhajeckiego.

Wybacz szanowny czytelniku, że cię może znużyłem zbyt obszernem i drobiazgowem sprawozdaniem. Rozpisałem się tak, bo mi wszystko to zbyt na sercu ciężyło, a przytem chciałem jaśniej umotywować niektóre poruszone kwestye.

Teraz mi już lżej, bo swój obowiązek spełniłem, choć z drugiej strony przeczuwam, że mi niektórzy sąsiedzi tego nie darują, że zdradziłem tajemnicę ich gospodarki łowieckiej. Ale opowiązek przedewszystkiem! a zatem mam czyste sumienie!

Kazimierz Gołębski, delegat podhajecki.

Chrapy o. p. Radawa 6. marca 1900.

Pozwalam sobie przesłać opis niezwykłego polowania.

Dnia 16. lutego b. r., polował książę Witold Czartoryski w 4 strzelby w lasach swoich z psami, przy których już setki dzików ustrzeliliśmy lub skłuli; liczne pozszywane blizny na psiej skórze świadczą o mnogich cięciach zadanych przez dziki i o walkach na śmierć lub życie.

W trzecim miocie z rzędu otropiony był spory pojedynek. Myśliwi zajęli stanowiska, a strzelec Jan podprowadził psy. Umówionem było, że książę i jego strzelec Jędruś, w razie ostanowionego przez psy dzika, mają podchodzić w miot. W dziesięć minut głosi tropowiec dzika, pospuszczano więc wszystkie psy ze smyczy a było ich jedenaście. Odyniec pomyka, psy za nim, chwilami dopadają, szarpią, dzik przystaje, fuka, szarżuje, pies „Lampart“ cięty w gardziel, odwagę swoją przepłaca śmiercią.

Psy zajadle biorą dzika i oszczekują w miejscu. Strzelec Jędruś, znany ze swej pasyi myśliwskiej i odwagi, przypada pierwszy, a nie namyślając się długo odrzuca fuzyę i chwyta obydwoma rękami za tylne nogi zwierza, podnosząc je w górę i tak z wysileniem wszystkich sił trzyma wyrywającego się odyńca. Walka ta trwa kilka minut, w pomoc nadbiega mu drugi strzelec Jan i sam książę.

Książę przytrzymuje jedną, strzelec Jan drugą nogę tylną a odważny Jędruś zwala dzika na bok i kolanami przytrzymuje przód zwierza do ziemi. Zjawiają się ludzie z nagonki, ubezwładniają i związują dzika.

Odyniec był duży do sześciu lat mający, o wielkich szablach a ważył 108 klgr.

Przywieziono go żywcem do Pełkiń, gdzie po dwóch dniach niewoli zdechł.

W tym dniu padły prócz wymienionego odyńca cztery dziki, z tych jednego przy psach zakłuto.

W. Arvay, leśnik.

Lwów, 8. marca 1900.

Z kniei bełzkiej.

A więc koniec sezonu; przebrzmiały echa strzałów — lasy i pola cisza zaległa — tu i ówdzie, jeszcze zagrzmi rzadki strzał do otropionych na świeżym śniegu dzików — głęboko pod ziemią, jakby z innego świata, odezwie się czasem głos jamników goniących liszkę po gniazdowej jamie — a zresztą strzelba na kołku i spokój w świecie zwierzęcym.

To też zanim nad lasem ozwie się pierwszy głos chrapiącej słonki, chętnie myśl wraca do zdarzeń minionego sezonu — ile to wrażeń przebytych, ile wspomnień po wieczne czasy wyrytych w duszy myśliwego, — ile trosk i kłopotów codziennego życia wchłonęły poczciwe drzewa, ile zdrowia, ile życia, ile balsamicznego oddechu strudzona nieraz pierś miłym borom zawdzięcza? Czas więc i na mnie spełnić funkcyę sekretarza i przesłać w łamy *Łowca* sprawozdanie za rok ubiegły „*Towarzystwa myśliwskiego bełzkiego*“, — a że już prawie wszystkie lepsze knieje miały swoje sprawozdania w *Łowcu,* więc tem łatwiej i nam odbyć spowiedź generalną, bo choć zaznaczyć możemy i w tym roku stały postęp i przybytek w zwierzostanie — to niemniej daleko nam jeszcze do tych ideałów, jakie każdy w duszy nosi, daleko jeszcze od takiego rozkładu, jaki knieja bełzka mieć powinna, a może przecie kiedyś mieć będzie. Trudno bo doprawdy wymarzyć piękniejsza knieję i lepsze dla zwierzyny naturalne warunki, ale też trudno o gorszych sąsiadów, jak ci, którymi nas los obdarzył. Knieja bełzka obejmuje 1700 morgów obszaru w regularny, doskonałemi liniami pocięty kwadrat. Prezes nasz Aleksander Hulimka oddzierżawił od właściciela Chlewczan, p. Gelbera, i oddał Towarzystwu do dyspozycyi

las chlewczański obszaru około 1000 morgów — razem więc mamy do spolowania 2700 morgów. W lecie jest wszystko, czego zwierzynie potrzeba, jest woda i obfita karma, są gęste zapusty, trawy i partya wysokiego lasu z podszyciem, jest spokój i ochrona, — z dwóch stron polna granica z oziminami i innymi dla sarn i zajęcy przysmakami — jest więc wszystko — a jednak....

Nie ma może w kraju zakątka, gdzieby tak nie dbano o zwierzynę, gdzieby tak wszystko niszczono, jak w najbliższem sąsiedztwie lasu bełzkiego. Mamy polowanie w lesie chlewczańskim, nie mamy go na polach, więc, co się tylko na polu pokaże, to ginie, lub wraca pokaleczone, za Chlewczanami i w bezpośredniem połączeniu z niemi leżą lasy choronowskie — właściciel „von Draussen“ poluje jak rok długi na mięso, które wysyła w świat zato, żeby się osobiście nie fatygować, ćwiczy chłopów w strzelaniu, bo żeby mieć mięso na sprzedaż, trzeba mieć ludzi, którzy strzelać będą.

Z przeciwnej strony graniczymy z Prusinowem — strzelali tam dotad wszyscy i wszystko — obecnie nabyła gmina Bełza te dobra — co z polowania będzie niewiadomo — panowie mieszczanie mówią, że my zanadto rozmnażamy zwierzynę i że stąd powstają szkody w drzewostanach. Za Prusinowem znowu lasy kuliczkowskie; jest to fundacya, — jest mnóstwo kłusowników — bywają bardzo częste polowania, — ale zwierzyny nie ma.

W ten sposób nie mamy ani jednej pilnowanej kniei w sąsiedztwie i co najmniej 10.000 morgów sąsiednich lasów, to istna dzicz na punkcie myśliwstwa, zato kłusowników naokoło bez liku, to też do naszych lasów nic z zewnątrz nie przyjdzie, a co wyjdzie za granicę, to bezpowrotnie przepadło.

Przytem wszystkiem jesteśmy tylko dzierżawcami prawa polowania — mamy swojego strażnika polowania, ale zresztą służba nie nasza i mamy tylko słodkie argumenty do dyspozycyi: strzałowe, nagrody za otropione dziki, złapanego kłusownika etc. — nieprzyjemnych a często najskuteczniejszych argumentów, niestety nie mamy w zapasie.

W tym sezonie myśliwskim polowaliśmy nadprogramowo jeden dzień w październiku, tylko na dziki, które znaczne szkody w polach robiły — niestety bez rezultatu, bo dziki były w dwóch miotach, ale z bagien i gąszczu wyprzeć się nie dały. Zwykłe polowania odbyliśmy 27. i 28. października 1899 i 11. i 12. stycznia 1900, oba razy przy najfatalniejszem powietrzu. W jesieni mieliśmy pierwszego dnia troszkę śniegu bez mrozu, drugiego dnia deszcz od rana do wieczora. Zimowe polowanie odbyliśmy przy kilkustopniowym mrozie, zupełnie bez śniegu; toteż sarny wynosiły się z miotów, zanim je można było obstawić, zające były w polu, dzików nie można było tropić — a przytem Towarzysze nie świetnie w tym roku do dzików strzelali.

Poniżej podaję wykaz ubitej na tegorocznych polowaniach zwierzyny, a dla porównania zestawiam tegoroczny rezultat z rokiem ubiegłym.

Lisy dostały w tym roku dobre i zasłużone cięgi — z ich winy nie mamy już prawie jarząbków, których dawniej było dosyć; w tym sezonie dwa tylko były widziane.

Na jesiennem polowaniu zabił Al. Hulinka śliczny okaz rogacza, perukarza; widziałem go idącego przed strzałem, pogmatwana góra rogów robiła imponujące wrażenie — przytem sam rogacz ogromny. W Niemczech często są podobne rogacze perukarze, ale myślę, że takich okazów, jak powyższy, nie było, lub było bardzo niewiele.

Rok	Dziki	Rogacze	Lisy	Zające	Słonki	Cietrzewie	Razem
1898/99	—	15	9	58	1	1	84
1899/00	2	17	20	51	—	1	91

Wypisałem powyżej jeremiadę na sąsiadów ku ulżeniu serca, ale nie chciałbym, aby ktoś przypuścił, że takie są główne wrażenia, jakie z polowań bełzkich wynosimy, bo gdy po skończonym obiedzie i po załatwieniu wszystkich wniosków, rachunków etc. — daje kochany nasz prezes sygnał, że część urzędowa zamknięta, i że przechodzimy „do prywaty“ i gdy zaczną się krzyżować dowcipy i opowiadania, to sąsiedzi i kłusownicy idą w niepamięć, godziny biegną szybko i późno w noc milkną towarzysze, aby marzyć we śnie dalej o przyszłych tryumfach i polowaniach. *W. S.*

Bulowice pod Kentami, 8. marca 1900.

Chcąc tak jak w roku ubiegłym, tak i tego roku zadosyć uczynić obowiązkom moim delegata Towarzystwa łowieckiego na powiat tutejszy, przesyłam raport ogólnego stanu zwierzyny i wynik odbytych polowań w całym powiecie bialskim, o ile na zapytania moje raczono mi dostarczyć materyału za sezon myśliwski 1899—1900.

Ponieważ w artykule moim zeszłorocznym, umieszczonym w szpaltach *Łowca*, w N-rze z miesiąca maja roku 1899 starałem się dać o ile sił i dobrej woli starczyło, bardzo wyczerpujące sprawozdanie o stosunkach łowieckich tutejszych, od roku zeszłego nic a nic się nie odmieniło, ani też tereny uprawnionych do polowania myśliwych, nie zmiejszyły się, ani się też nie powiększyły, uważam za zbyteczne jedno i to samo powtarzać, bo utyskiwania tak czy siak na nic się nie przydadzą, dopóki się ludzie u nas nie odmienią i ograniczę się na treściwem podaniu ubitej zwierzyny szlachetnej i szkodliwej w głównych rewirach naszych:

Zarząd leśniczowstwa Arcyksięcia Karola Stefana w Bestwinie, doniósł mi, że mokra nadzwyczaj wiosna, częste opady atmosferyczne w lecie, a przedewszystkiem kilkakrotne wylewy rzek w miesiącu lipcu, ogromne zadały klęski zwierzynie, w gnieżdżącej się i przebywającej w wiklinach, nad rzeką Sołą i na polach w bliskości tej rzeki położonych doszczętnie zniszczyły. Na domiar nieszczęścia zające chorowały na gnicie wątoby (Leberfäule), tak że śmiało liczyć można, że 10% na tę chorobę zginęło. Wskutek tych klęsk Arcyksiąże osobiście nie polował, i większe polowania nie odbyły się wcale. Raz tylko na dzikie kaczki, odbyło się większe polowanie przy udziale JE. Alborego, c. k. komendanta korpuśnego w Krakowie, p. Sandeckiego c. k. notaryusza i burmistrza miasta Żywca, oraz siedmiu wyższych urzędników z dóbr arcyksiążęcych Zabito dnia tego 52 sztuk dzikich kaczek różnogatunkowych.

Leśniczowie i służba łowcza, zabili w ogólności podczas zeszłego sezonu co następuje: Zwierzyna szlachetna: 1 rogacz, 317 zajęcy, 18 kogutów bażancich, 1 koguta cietrzewia, 123 kuropatw, 210 dzikich kaczek różnogatunkowych, 9 łysek, 1 dzikiego gołębia, razem 480 sztuk. Zwierzyny szkodliwej: 4 lisy, 86 psów, 195 kotów, 11 kur, 69 tchórzów, 71 łasic, 112 jastrzębi i krogulców i t. p. 2038 srok i wron, razem 2586 sztuk.

Prócz tego przytrzymano i kroki sądowe przeciwko 12 kłusownikom wdrożono.

W Bulowicach na moich terenach myśliwskich przeszły te same klęski, które rewiry arcyksiążęce w Bestwinie nawiedziły, dlatego polowania tegoroczne bardzo słaby dały rezultat w porównaniu do innych lat. Wszystkich pól ciepłych przepuszczalnych, na których zwierzyna najchętniej przebywa i na których najszybciej się mnoży, wzdłuż rzeki Soły położonych, nie mogłem opolować. Na pagórkach naszych gliniastych zimowych i nieprzepuszczalnych, na których zwykle młode zajączki marcowe giną, musiałem się ograniczyć. Polowaliśmy 19 i 20 grudnia 1899, na niewielkim i niegłębokim śniegu, ale zmarzniętym, przy 8-miu stopniach R. mrozu i bardzo przykrym wietrze północnym, z tego powodu też mniej nagonki przybyło, aniżeliśmy koniecznie potrzebowali, i dużo zajęcy przeszło bez strzału, zwłaszcza że kilku zaproszonych myśliwych, dla fatalnych okoliczności nie dopisało. Jednem słowem wszystko się tak złożyło nieszczęśliwie, że się polowania udać nie mogły.

Pierwszego dnia przy dziesięciu strzelcach i 117 nagonki, ubito tylko 44 zajęcy, wzięliśmy od w pół do dziesiątej do czwartej trzy kotły i trzy mioty leśne. Królem polowania został p. Karol Czecz z Bierzanowa, zabiwszy 12 zajęcy. Opolowany teren mniej więcej 1000 morgów.

Drugiego dnia przy dwunastu strzałach i 125 nagonki wzięliśmy od 10-tej do 4-tej, cztery małe mioty leśne; dwa kotły i dwa mioty leśne większe. Rezultat 109 zajęcy i 1 lis, rzadki gość, w rewirach moich, który padł w ostatnim miocie pod celnym strzałem p. Dra Franciszka Paszkowskiego. Królem polowania dnia tego obwołanym został porucznik hr. Wratislaw, zabiwszy 14 zajęcy. W drugim kole padło 42 zajęcy, a drugie tyle przeszło bez strzału zdaniem wszystkich uczestników. Za mało nagonki, gruda po której ledwo przejść można było, wskutek czego słabsi ludzie zdążyć za silniejszymi nie mogli, przez co otwierały się w kole luki, były tego powodem. Opolowany teren mniej więcej 1200 morgów.

Z kuropatwami dziwne było tego roku zjawisko, o wiele więcej było starek niż młódek, zapewne z tej przyczyny, że po łagodnej zimie pozostałe liczne stada nie strzelane doskonale się utrzymały, a wiosenne lęgi przy ciągłej słocie wyginęły. W ogóle kuropatwy o wiele później się tego roku gnieździły u nas, aniżeli w roku 1898, okazało się to przy koszeniu koniczyn, które się dopiero w drugiej połowie czerwca rozpoczynają, wysieczono tu 14 gniazd nie wyklutych jeszcze kuropatw, oczywiście przepadły i licząc skromnie tylko po 10 sztuk od gniazda, ubytek śmiało na 140 sztuk z tych zniszczonych gniazd obliczyć można.

Pomimo tak niefortunnych okoliczności zabiliśmy więcej kuropatw w ubiegłym sezonie, aniżeliśmy się spodziewali; prawda, że na ogromnym terenie bo blisko 7000 morgowym, który posiadam, to się uzbiera.

Kłusownicy i zastawiciele sideł tego roku nam o wiele mniej dokuczali, aniżeli roku zeszłego, snać byli jeszcze pod wrażeniem obław i energicznych doniesień, któreśmy przeciwko nim przedsiębrali, śnieg tego roku nigdy długo nie leżał, zapewne i to się dużo przyczyniło, do poskromienia ich złych chęci, na szarej stopie kłusownictwo o wiele większe napotyka trudności, a stawianie sideł wcale sie nie opłaca.

W rewirach tutejszych ubito w ogólności zwierzyny szlachetnej: 4 rogacze, 210 zajęcy, 10 kogutów bażancich, jedną dziką gęś, 8 dzikich kaczek, 226 kuropatw, 3 przepiórki, 13 chruścieli, razem 475 sztuk. Zwierzyny szkodliwej: 2 lisy, 11 psów, 7 łasic, 13 kotów, 60 wron, 12 srok, 9 jastrzębi i krogulców, 15 sów, jedną sojkę, jedną wewiórkę, razem 131 sztuk.

Zarząd leśniczowstwa bar. H. Czecza w Kozach, doniósł mi, że i tego roku większych polowań nie odbyto, w ogólności zabito tam 86 zajęcy, 1 słonkę, 7 kuropatw, 39 dzikich kaczek, zwierzyny pożytecznej zatem sztuk 132. Zwierzyny szkodliwej: 5 lisów, 2 łasice, 10 psów, 10 kotów, 1 jastrzębia, 2 krogulce, 6 srok, 9 wron, razem 45 sztuk.

P. Teofil Wysocki w Polance pod Oświęcimem, doniósł mi, że u niego dużo mniej zwierzyny padło, aniżeli w roku ubiegłym, zwłaszcza kuropatw bez porównania mniej. Przyczyną tego słotny rok, a przedewszystkiem gwałtowne ulewy i powodzie w czerwcu i lipcu, które młode kuropatwy wytępiły. Pozostały na ten rok stan zajęcy i kuropatw jest dosyć znaczny, spodziewa się więc tego roku mieć więcej zwierzyny. Rezultat ogólny u niego: zwierzyny pożytecznej: 1 rogacz, 262 zajęcy, 26 bażantów, 157 kuropatw, 48 dzikich kaczek, 1 przepiórka, 3 kszyki, 3 dzikie gołębie, 8 chruścieli, razem 509 sztuk. Zwierzyny szkodliwej: 8 lisów, 16 psów, 21 kotów, 4 łasice, 2 tchórze, 35 wron, 12 srok, 4 sowy, 2 jastrzębie, razem sztuk 104.

Podał mi także ilość sztuk, zabitych na terytoryum miejskiem w Oświęcimie, koło 1250 morgów objętości dzierżawione przez tamtejszego lekarza miejskiego, ubito 120 zajęcy i 60 kuropatw, wiele szkodliwej niewiadomo.

Pomimo dwukrotnego upomnienia się nie otrzymałem dotychczas sprawozdania z jednego, z najgłówniejszych rewirów naszych łowczych, a mianowicie p. Oskara z Rudna Rudzińskiego w Osieku. Z wieści, które mnie doszły, donieść więc tylko mogę, że w dniach 29. i 30. grudnia r. z. odbyły się tam większe polowania podczas których pierwszego dnia w 18 strzelb zabito: 130 bażantów i 70 zajęcy, a drugiego dnia w 22 strzelb 3 bażanty i 187 zajęcy, dość że blisko 400 sztuk zwierzyny miano tam podczas tych dwóch dni ubić. Jak na ten rok świetny rezultat, zważywszy, że rok w rok bardzo intenzywnie wszystkie rewiry tamtejsze bywają zwykle opolowywane. Szczęśliwe położenie, grunta dworskie zwarte, doskonale skomasowane, w całości wydrenowane, bezwątpienia niezmiernie dodatnio na rozmnożenie prawidłowe zwierzyny, się tam przyczyniają, a ścisły nadzór i opieka wzorowa nad zwierzyną reszty dopełnia. Słyszałem także, że w państwie Zatorskiem, w sąsiednim powiecie moim wadowickim położonym, właściciel hr. August Potocki nie polował wcale z obawy, że wskutek klęsk elementarnych polowania mu się nie udadzą. W latach normalnych zabijają tam w przeciągu trzech dni zazwyczaj od 900 od 1200 zajęcy, 400 bażantów, i 300 do 500 kuropatw, nie licząc dzikich ka-

czek, których zapewne kilkaset pada. Pracuję nad zawiązaniem spółki myśliwskiej w tymże powiecie, moim sąsiedzkim, w celu zadzierżawienia terenów gminnych koło 3000 morgów w Wieprzu ad Andrychów; jeżeli starania moje uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem, nie omieszkam w czasie właściwym o tem donieść. Na tem kończę sprawozdanie moje z braku materyału.

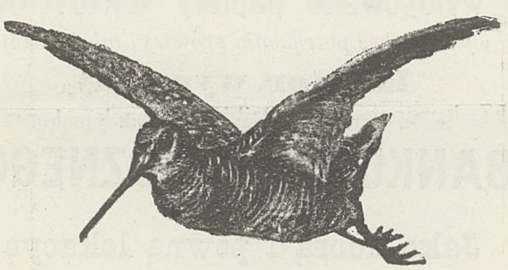
A. Larisch, delegat bialski

Bachórzec, 27. lutego 1900.

Może to szanownych czytelników *Łowca* będzie interesować, że już 22-go lutego, widziano tu w łozach nad Sanem trzy dopiero co rzucone zające, następnego dnia widziałem sam jednego, ale już dobrze podchowanego na oziminie opodal łozów. Skowronki, czajki od kilku dni widują, dnie ciepłe, trzeba spróbować postać na słonki a o rezultacie niezawodnie na przyszły raz szanownych towarzyszy uwiadomię. *K Krasicki.*

Raba wyźnia, 26. marca 1900.

Proponowaną przez Szanowną Redakcyę nazwę „półogary“ na oznaczenie rasy „dachsbraków“ z chęcią przyjmuję, bo doskonale cel i gatunek tych psów oddaje i dziękuje za trafną propozycyę. *Dr. Jan Zduń,*



Pierwsza słonka, o której nam doniesiono, padła w Rudnikach pod Stryjem d. 27 bm.

Oprócz lekarzy i aptekarzy odniosą, zdaje, się z tegorocznej europejskich influency wielką korzyść także słonki — ilu to bowiem myśliwych z obawy zaziębienia nie będzie nastawało tego roku na ich życie! *E.*

Z Bajkowiec, pod Tarnopolem donosi nam w ostatniej chwili p. Maniewski również o zabiciu pierwszej w tamtej okolicy słonki d. 28 bm.

Od Administracyi.

Od niejakiego czasu znajduje „*Łowiec*“ coraz większe uznanie nawet wśród nieprenumeratorów. Dowodem tego bardzo częste ginięcie numerów, wysyłanych przez nas do członków Towarzystwa. Szczególniej znajduje amatorów większa ilość numerów razem posłana — np. kwartalnik lub półrocznik. Przepraszamy tych Szanownych pp. Członków, którzy z tego powodu nie otrzymali „*Łowca*“ i prosimy o natychmiastowe reklamowanie, bo tylko w ten sposób będziemy mogli dojść, gdzie numery giną i odpowiednie kroki poczynić.

Sprawozdania łowieckie.

Rzemień, 23. lutego 1900.

Wykaz ubitej zwierzyny w Rzemieniu od 1. stycznia do 31. grudnia 1898.

Zwierzyny pożytecznej padło:

Dzików	15
Rogaczy	4
Zajęcy	5
Cietrzewi	10
Jastrzębi	4
Kuropatw	12
Kaczek	10
Słonek	2
Kszyków	18
Przepiórek	10
Kwiczołów	8
Razem	98

Zwierzyny szkodliwej padło:

Lisów	9
Kun	1
Psów	16
Kotów	14
Łasic	3
Wydr	1
Jastrzębi	28
Sów	9
Wron i srok	224
Razem	305

Od 1. stycznia 1899 do 31. grudnia 1999.

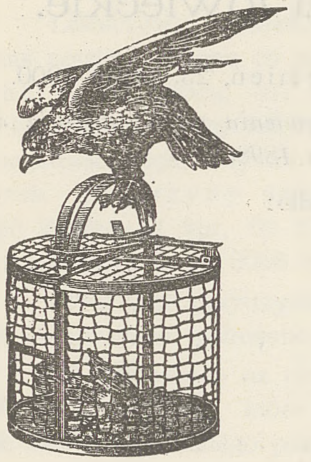
Zwierzyny pożytecznej padło:

Dzików	19
Rogaczy	33
Zajęcy	66
Cietrzewi	3
Jarząbków	1
Kuropatw	64
Kaczek	37
Słonek	3
Kszyków	18
Przepiórek	22
Razem	266

Zwierzyny szkodliwej padło:

Lisów	20
Kun	4
Psów	11
Kotów	9
Łasic	7
Wydr	5
Jastrzebi	46
Sów	19
Wron i srok	156
Razem	277

Jan Szäfler, nadleśniczy.



ŁAPKI i KOSZE

najpraktyczniejszej i najnowszej konstrukcyi do łapania wszelkiego rodzaju zwierząt drapieżnych — jako to: łasic, tchórzy, kun, kotów, wyder, borsuków, lisów i wilków — następnie srok, wron, kruków, jastrzębi i krogulców, orłów i puchaczy — niemniej wszelkiego rodzaju ***wabiki*** *naśladujące z największą akuratnością głosy zwierząt*

poleca najtaniej

GŁÓWNY MAGAZYN BRONI

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

c. i k. Nadwornego dostawcy

we Lwowie, ul. Karola Ludwika l. 1.

mianowicie:

Łapki uniwersalne (Universal-Tellereisen) zębate, z kutego żelaza, w trzech wielkościach:

I. wielkość, na wilki, rysie, borsuki, etc. . . cena złr. 8.—
II. „ na wydry, borsuki lisy etc. . . „ „ 6.50
III. „ na lisy, kuny, tchórze etc. . . . „ „ 4.50

Łapki z kutego żelaza ***na ptactwo*** *drapieżne (Pfahleisen) w najrozmaitszych wielkościach po złr. 1.60, 2.50, 3.—, 4,—, 5.— i wyżej.*

Kosze do łapania jastrzębi, krogulców i orłów po złr. 9.— i 10.—.

Łapki skrzynkowe (Kastenfalle) „Triumph“ do łapania zwierząt drapieżnych czworonożnych żywcem, bez skaleczenia tychże.

Długość skrzynki 160 cm., wysokośc 40 cm., szerokość 35 cm., cena loco Lwów złr. 25.—

Łapki te nadają się najbardziej w miejscach, gdzie są pozakładane ***zajęczarnie*** *i* ***bażantarnie****.*

Zarząd szkółek

leśnych i ogrodowych

Tadeusza hr. Łubieńskiego

w Zassowie pod Czarną

poleca:

sadzonki leśne,
drzewka parkowe,
drzewka owocowe,
krzewy ozdobne,
i rośliny pnące

po najniższych cenach.

Katalogi odwrotną pocztą i opłatnie.

6—24

ROK ZAŁOŻENIA 1872.

C. k. uprz. pierwsza austr. 105—7—?

FABRYKA KONSERW ZUPOWYCH

Zygmunta Ruckera, we Lwowie

wyrabia konserwy grochowe, kminkowe, soczewicowe itd. w kostkach obliczonych na jedną porcyę zupy. Znakomity i bardzo tani posiłek na polowania, wycieczki itd. Sposób przyrządzania szybki i wygodny. Wysyłka na prowincyę odwrotną pocztą. 10 sztuk **20 ct.**, 100 sztuk **1 złr. 75 ct.**

Zakupujemy bydło

chude, zdatne do opasu, jako to: woły lżejsze i cięższe i krowy.

Mniejsze sztuki w ilości najmniej 28, cięższe 24 sztuk, taką bowiem tylko ilość opłaca się wagonować. Gospodarstwa nie posiadające takiej ilości, łączyć się mogą z sąsiednimi i tym sposobem dopełnić brakującą do wymaganej liczby ilość sztuk. Sprzedający nam bydło uzyskają za towar odpowiednią cenę i unikną wyzysku przez drobnych pośredników handlarzy. W ofercie należy podać wagę każdej sztuki (po 24 godzinnym poście) w przybliżeniu wiek i cenę. Pośrednictwo wykluczone.

Zarząd dóbr Żurawno

1—? poczta i telegraf w miejscu.

Wszelkie kupony

i wylosowane papiery wartościowe

wypłaca bez potrącenia prowizyi lub kosztów

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku krajowego,
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,
i wszelkie renty państwowe.

Nadto polecamy akcye Galic. Towarzystwa elektrycznego.

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym.

KANTOR WYMIANY

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

BANKU HIPOTECZNEGO.

117—12—24

1—3 Chciałbym mieć sposobność

zabicia kilka jeleni i rogaczy

podczas rykowiska 1900.

Oferty i warunki pod adresem: **Creydt, porucznik. 8 pułku huzarów, Jarosław.**

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.